

*Margaret Todd*

***Ostatnia  
romantyczna  
przygoda***

***12  
OPOWIADAŃ O MIŁOŚCI***



Projekt okładki i strony tytułowej  
Jan Nyka

Foto Kevin Todd

Korekta  
Elżbieta Dygała

Wydawnictwo **TWINS**

© Copyright by Margaret Todd  
ISBN 83-903536-4-4

## *Spis treści*

1. Czekanie 4
2. Jesienny park 14
3. Magia kina 28
4. Najlepiej płatne opowiadanie 43
5. Ostatnia romantyczna przygoda Eda Colinsa 55
6. Rozstanie z Izoldą 72
7. Ucieczka 93
8. Wigilia we czworo 138
9. Wnuczka Weroniki 161
10. Wysłannicy opatrzości 178
11. Zaproszenie do tanga 202
12. Zupa po cygańsku 239

# 1

## **CZEKANIE**

Siedzę w małym, skromnym hotelowym pokoiku i czekam. Cała wypełniona jestem tym czekaniem, nie zdolna zająć się czymkolwiek. Ja, zwykle tak aktywna, siedzę prawie bez ruchu, nasłuchując szelestów z głębi hotelu; może listonosz przyniósł pocztę, może właśnie ktoś wspina się po schodach z zawiadomieniem, że jest do mnie telefon. Nie, jeszcze nie. Jak długo to trwa? W każdym razie za długo. Coś należałoby zrobić, ale co? Nie wiem, nie umiem znaleźć sobie miejsca po tym wszystkim co się niedawno wydarzyło w moim życiu a wydarzyło się tak wiele. Nie, raczej nie tak wiele, ale tak ważne to było.

Na prom z Calais do Dover wsiadłam w pośpiechu, jako ostatnia pasażerka. Zawsze tyle jest do zrobienia, tyle spraw do załatwienia, że następuje spiętrzenie zajęć. Udało się jednak nie zaniedbać niczego ważnego. Usiadłam wreszcie w kawiarni z filiżanką herbaty i ciastkiem. Rano oczywiście nie zdążyłam zjeść śniadania. Przy sąsiednim stoliku siedział on. Nie, nigdy wcześniej go nie spotkałam, chociaż teraz myślę, że zawsze na niego czekałam, że każdemu ktoś jest przeznaczony, ale nie zawsze do spotkania dochodzi i tylko wybrańcom losu to się przytrafia. Wtedy oczywiście jeszcze o tym nie wiedziałam. Nagle nasze spojrzenia spotkały się. W

jego wzroku było coś szczególnego. To nie był sposób patrzenia podrywacza, wytrenowany, obliczony na łatwe zwycięstwo. Była w tym spojrzeniu natarczywość, ale jakby pomieszana z niepokojem.

Dopiłam herbatę i wyszłam na pokład. Idealnie spokojne morze przybrało barwę granatu, o ton ciemniejszą od zawieszzonego nad nim nieba.

- Nie wiele brakowało, a spóźniłaby się pani na prom - usłyszałam tuż za sobą.

- Rzeczywiście - odparłam odwracając się.

Stał dwa kroki ode mnie z ręką opartą na poręczy schodów prowadzących na górny pokład.

- Z Dover jedzie pani do Londynu? - spytał.

- Tak - odpowiedziałam zdawkowo i zastanawiałam się czy jakoś uzupełnić tę informację, kiedy padło następne pytanie.

- Na długo?

- Tego jeszcze nie wiem. Będzie zależało od okoliczności. A pan? Pan tam może mieszka?

- Nie. Mieszkam w Szkocji, na samej północy. W Londynie zatrzymam się zaledwie parę dni. Zna pani to miasto?

- Po raz pierwszy w życiu będę w Wielkiej Brytanii.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Nie jest pani Angielką?

- Czyżby mój akcent nie zdradzał tego?

- Ani trochę. Mówi pani bardzo poprawnie. Zastanawiałem się tylko dlaczego aż tak poprawnie. Gdzie nauczyła się pani angielskiego?

- W swoim kraju.

- To znaczy gdzie?

- Proszę zgadnąć.

- Taka ładna blondynka, wysmukła, ale nie w typie nordyckim, musi być... Słowianką. Polka?

- Zgadł pan.

- W takim razie należy mi się nagroda. Jaką pani przewidziała?

- Właśnie, nie pomyślałam o nagrodzie, zwłaszcza nie przypuszczałam, że tak szybko zostanę rozpoznana.

- Zatem ja coś zaproponuję. Pozwoli pani?

- A mam wyjście?

- Pewnie znalazło by się, ale proszę przystać na moją propozycję i zgodzić się, żebym został pani przewodnikiem. Londyn znam dobrze.

- Bardzo pan uprzejmy, ale z tego wynika, że to ja jestem odbiorcą nagrody, na którą sobie niczym nie zasłużyłam.

- Nie chciałbym się narzucać - mężczyzna nagle zreflektował się - zwłaszcza, jeśli czeka na panią ktoś z przyjaciół.

- Rzeczywiście, ktoś czeka, ale nie przypuszczam żeby później miał dla mnie wiele czasu.

- W takim razie zapraszam panią na koniak i rozmowę o Londynie.

Ale rozmowa przy koniaku wcale nie dotyczyła Londynu. Dotyczyła nas. Chcieliśmy wiedzieć o sobie jak najwięcej. Pytania i odpowiedzi nie zaspokajały naszej wzajemnej ciekawości, raczej ją wzmagaly.

Podróż minęła nam bardzo szybko. Na dworcu Victoria czekał mój kuzyn. Był zaskoczony, że nie jestem sama. Zamówił mi pokój w tanim hotelu, jak o to prosiłam i zawiózł nas tam oboje. Szczęśliwym trafem znalazł się jeszcze jeden wolny pokój dla mojego towarzysza podróży.

Wieczór spędziliśmy we troje. Bruce zaprosił nas oboje z kuzynem na kolację do ulubionej przez siebie hiszpańskiej restauracji na Regent Street. Później mój kuzyn zaproponował

wpaść do któregoś z barów w Soho. Do hotelu odwiózł nas dobrze po północy.

Nazajutrz, tak jak przypuszczałam, kuzyn nie miał czasu, co mnie ani Bruce'a wcale nie zmartwiło. Poprzedniego wieczoru umówiliśmy się, że zwiedzanie zaczniemy od dziesiątej rano. Spotkaliśmy się w holu punktualnie. To był wspaniały, pełen wrażeń dzień. Przy okazji zwiedzania galerii okazało się, że tych samych lubimy malarzy, przy wyborze przedstawienia teatralnego wyszło na jaw, że tych samych dramaturgów podziwiamy. Wieczór uwieńczyła kolacja we francuskiej tym razem restauracji. Wracaliśmy trochę podchmieleni. Mimo dobrego humoru niepokoiła mnie odrobinę perspektywa pożegnania. Obawiałam się, że Bruce będzie nalegał żeby wstąpić do mnie na kawę. Mimo, iż podobał mi się coraz bardziej, byłabym stanowcza w odmowie. On jednak szarmancko pocałował mnie w rękę, podziękował za mile spędzony dzień i życząc dobrej nocy zaproponował spotkanie nazajutrz znowu o dziesiątej. Jego powściągliwość bardziej mnie ujęła, niżby mogły to zrobić gorące zapewnienia o uczuciach.

Następny dzień był znowu szalony i podniecający. Zafascynowana Londynem i moim towarzyszem na równi, no może towarzyszem bardziej, pochłaniałam atrakcje turystyczne, jedna za drugą. Z Tower do British Museum, z muzeum do Harodsa. Ten ostatni przeskok, właściwie na drugą stronę Brompton Road, dostarczył mi szczególnego rodzaju przyjemności. W British Museum podziwiać można tak wiele, kupić jedynie pocztówki, ilustrujące te cuda. U Harodsa wszystkie piękne przedmioty są na sprzedaż, jeśli tylko dysponuje się odpowiednimi sumami. Próbowałam dzielnie opierać się pokusom, ale nie mogłam oczu oderwać od pewnej broszki.

Zupełnie nie wiem jakim cudem, po wyjściu ze sklepu, stałam się, mimo protestów, jej posiadaczką. Bruce zniknął mi z oczu w sklepie przecież tylko na krótką chwilę.

Przed powrotem do hotelu dla przebrania się na kolację wstąpiliśmy do pubu. Było jeszcze za wcześnie na wieczorną klientelę, siedzieliśmy więc prawie sami w starym, pieczołowicie zakonserwowanym barze popijając Martini.

- Powiedz mi, dlaczego wybrałeś zawód, który nie ma nic wspólnego ze sztuką - spytałam - przy twoich tak licznych zainteresowaniach artystycznych.

- Prócz zainteresowań są jeszcze zamiłowania. Jedni uwielbiają konie, inni hodują psy lub koty, a ja kocham morze. Jako młody człowiek nie mogłem nawet marzyć o kupieniu jachtu, wybrałem więc szkołę morską, by dowodzić cudzymi statkami.

- To całkiem praktyczne rozwiązanie - przyznałam. Mieszkasz w porcie?

- Nie jest to port, do którego mogą zawijać duże jednostki. Przeważnie przyplwam do Glasgow. Stamtąd mam już tylko piętnaście mil do domu. Zdarza się jednak, że trzeba objąć statek w Tilbory lub Dover, wtedy najczęściej lecę samolotem. Polecisz ze mną?

- Dokąd?

- Do Benderloch, to jest samolotem do Glasgow, a stamtąd... - urwał nagle. - Nie chciałem wprowadzać cię w zakłopotanie. Miałem na myśli, że może kiedyś w przyszłości zechcesz zobaczyć gdzie mieszkam.

Umilkliśmy oboje. Nasze dotychczasowe rozmowy nie dotyczyły dalszej przyszłości. Teraźniejszość zdawała się nam wystarczająca. Plany robiliśmy zaledwie na dzień następny. I oczywiście do nich po chwili wróciliśmy. Jeszcze tyle było do zobaczenia, że szkoda czasu na przesiadywanie w jednym miejscu. W ciągu dnia zjadaliśmy coś w biegu i pędziliśmy dalej by nacieszyć się wszystkim, co to wielkie



miasto ma do zaproponowania. Niemniej szalone były wieczory z dobrym jedzeniem, alkoholem, muzyką, tańcem.

Nadszedł wreszcie wieczór, gdy na dobranoc Bruce mnie pocałował i... Nie pamiętam żeby kiedykolwiek wcześniej pocałunek zrobił na mnie takie wrażenie. Oboje jesteśmy już przecież ludźmi dojrzałymi i uniesienia młodości powinniśmy mieć za sobą. Ale okazało się, że na porywy namiętności nie jest za późno, gdy spotka się właściwego partnera. Byliśmy dla siebie przeznaczeni, czuliśmy to oboje bez słów, chociaż i czułych słów nie szczędziliśmy. Prysła wreszcie powściągliwość. Wiedzieliśmy, że już bez siebie żyć nie możemy. Poprosił mnie, żebym została jego żoną, a ja oczywiście zgodziłam się natychmiast.

Następny dzień był nieco inny. Nasze plany stały się dalekosiężne. Należało załatwić wiele spraw przed ślubem, który zamierzaliśmy wziąć tu, w Londynie, albo w Glasgow, w zależności od wymagań pracodawcy Bruce'a. Najpierw więc pojechaliśmy do urzędu armatora. Po raz pierwszy od wielu dni siedziałam sama w kawiarni i patrzyłam przez okno na duży szary gmach po drugiej stronie ulicy, gdzie Bruce poszedł załatwiać sprawy.

Wrócił bardzo zadowolony. Statek, którym zwykle dowodził, będzie niebawem gotowy do drogi po sezonowym przeglądzie. Nie ma żadnych przeszkód żebym jako żona kapitana popłynęła również do Ameryki Południowej. Muszę tylko załatwić wizę i parę innych formalności.

- Odplywamy z Tilbory? - spytałam.

- Nie. Z Glasgow.

- Kiedy?

- Data nie jest jeszcze ustalona. Muszę tam najpierw sam pojechać dla dopilnowania spraw. Ty tymczasem załatwisz tu formalności. Listownie lub telefonicznie powiadomię cię, gdzie i kiedy masz przyjechać. Nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie te kilka dni.

- Też będę tęskniła.

- Nie wystarczy mi żebyś tęskniła. Przyrzeknij, że zawsze będziesz mi ufała. Chcę żebyś wiedziała, że zrobię wszystko żebyśmy razem byli szczęśliwi, gdyby nawet zaszły jakieś niepomyślne okoliczności.

- Co masz na myśli?

- Nic konkretnego. Tak tylko mówię, na wszelki wypadek. Kochaj mnie i ufaj mi.

Rano tamtego pamiętnego dnia nie mogliśmy się rozstać. W rezultacie Bruce spóźnił się na pociąg, spędziliśmy więc razem jeszcze dwanaście godzin w oczekiwaniu na odlot samolotu. Przyrzekłam, że załatwię wszystko najprędzej jak będę mogła i będę czekała na wiadomość od niego. Czekam więc. Zrobiłam wszystko, co było do zrobienia. Moje fundusze są na wyczerpaniu. Oszczędzam jak mogę, ale niebawem nie będzie mnie stać na dalsze opłacanie hotelu. Nie mogę jednak przenieść się do tańszego lokum, ani podjąć jakiegś dorywczej pracy, bo ten adres jest jedyny jaki on zna.

Parę dni temu postanowiłam działać. Chowając ambicję do kieszeni, pierwsza napisałam list z zapytaniem co się stało. Muszę przecież wiedzieć... Chwileczkę, ktoś puka do drzwi.

- List do pani.

- Dziękuję.

Nareszcie! Gdzie jest jakiś nóż. Nie, już nie potrzeba, rozerwałam kopertę. Dlaczego ten list jest taki krótki?

„Szanowna Pani, list pani nadszedł w dwa dni po wypadku. Wnioskuje z niego, że mieliście państwo wspólne plany z Bruce, którego tragiczna śmierć wszystko przekreśla. Zginął w wypadku samochodowym w drodze z Glasgow. Jako sąsiad i przyjaciel zmarłego...”

\*

Nie znoszę czekania. Jestem osobą bardzo dobrze zorganizowaną, wszystko potrafię zaplanować w

odpowiednim czasie. Sama nigdy się nie spóźniam i nie znoszę, kiedy ktoś każe mi na siebie czekać. Podejrzewam, że William robi to umyślnie, żeby mi dokuczyć. Takie już ma usposobienie. Sam jest rozrzutny i lekkomyślny, a moje zrównoważenie, przemyślane reakcje i właściwe zachowanie, drażnią go. Nie widzę jednak powodu zmieniać własny charakter na mniej odpowiedzialny. Wówczas wszystko by się rozpadło. Kiedy jednak próbuję przeanalizować nasze charaktery, dochodzę do wniosku, że jestem w jakiś głupi sposób zazdrosna o tę jego bez troskę. Chciałabym móc traktować życie równie lekko, jak on to robi. Na przykład teraz. Przypuszczam, że nie daje znaku życia, bo się dobrze bawi, po co mu więc moje zrzęczenie. Ale czy nie moglibyśmy razem dobrze się bawić? Przecież kiedyś bywaliśmy wśród ludzi. Ja też lubię życie towarzyskie. Chciałabym teraz być z nim, gdziekolwiek jest, zamiast siedzieć w domu i wpatrywać się w głuchy telefon, z nadzieją, że może zaraz zadzwoni. Kiedy wreszcie wróci, nie odezwę się ani słowem. Od tej chwili zaczynam odmierzać czas i na tak długo, jak go nie będzie, ja później zamilknę. Muszę mu przecież uświadomić, że postępuje niewłaściwie. Jak on czułby się na moim miejscu? No właśnie. Wcale by na mnie nie czekał, poszedłby do pubu, albo sprowadził ludzi do domu. Zmywanie i tak czekałoby potem na mnie.

Powinłam zrobić mu na złość i znaleźć sobie jakiegoś przyjaciela. Tak, koniecznie powinłam. Mogłabym przecież też gdzieś wyjść wieczorem, nawet dzisiaj, nawet zaraz. Ludzie poznają się przecież bywając. A jak będzie dzwonił? Nie, zaczekam jeszcze do jutra. Jutro zaczęną działać. Na razie trzeba zająć się czymkolwiek, żeby nie myśleć. Ale właściwie dlaczego nie myśleć? Może coś mu się stało, a ja nic nie wiem i siedzę tu z założonymi rękoma. Powinien przecież już wczoraj być w domu. Nie zadzwonił, bo może nie mógł. Może leży w jakimś szpitalu nieprzytomny. Tyle słyszy się o

wypadkach. Co prawda o wypadku samolotowym nie mówiono w wiadomościach, ale mógł przecież szczęśliwie przylecieć na lotnisko, wsiąść w samochód i... czy ten szum to może nadjeżdżający samochód? Szkoda, że okno jest z drugiej strony. Jeżeli to on, to nie chcę żeby widział, że wyczekiwałam. Tak, to on. Zaraz tu wejdzie.

- Co tak stoisz? Nie pocałujesz mnie na przywitanie?

- Tak, oczywiście - podszedł z ociąganiem.

- Co się stało? Dlaczego nie dawałeś znaku życia? Usiądź. Dlaczego ciągle stoisz? Zrobię herbaty.

- Nie, zaczekaj. Musimy porozmawiać.

- Lepiej przy herbacie. Wczoraj upiekłam ciasto. Myślałam...

- Wiem, co myślałaś i przepraszam za wszystko. To się więcej nie powtórzy. Napijemy się koniaku?

- Nie wiem, czy coś jeszcze zostało.

- Kupiłem nową butelkę. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Pozwól, że zgadnę. Zakochałeś się.

- To nie jest temat do żartów.

- Kto tu żartuje? Ostatnio było podobnie.

- Tamto była pomyłka. Teraz to coś całkiem innego.

Wiesz przecież na czym opiera się nasz związek.

- Wiem - uciełam.

- No, więc musimy jakoś nasze sprawy rozwiązać.

- Tak, musimy, a raczej ja muszę. Zajmę się tym od rana.

Teraz zrobiło się późno. W gościnnym pokoju jest świeża pościel. Śpij dobrze. Dobranoc.

\*

- Wiem, wiem, upłynęło kilka dni od twojego powrotu. Wiem również, że nie lubisz czekać. Nikt nie lubi. Ale pewnych spraw przyspieszyć się nie da. Musimy jeszcze raz na spokojnie, wspólnie zastanowić się.

- Tu nie ma nic do dodania. Zakochałem się, chcę odejść
- ot i tyle.
- Dobrze wszystko przemyślałeś?
- Oczywiście.
- Przedstawiłeś jej się jako Bruce?
- Co to ma do rzeczy? William Bruce, czy Bruce William. Wiesz przecież, że nie lubię swojego pierwszego imienia.
- Ani swojej pracy.
- Tak się złożyło. A pracę też mam zamiar zmienić.
- Domyślałem się, że zostaniesz kapitanem żeglugi wielkiej.
- Mam dość twojego sarkazmu.
- Przepraszam. Ale jeśli przedstawiłeś jej się jako kapitan, to jak wytłumaczysz, że nagle zostałeś kasjerem w banku?
- Poradzę sobie.
- Na twoim miejscu nie byłabym taka tego pewna. Jesteś krótkodystansowcem, nie porywaj się więc na maraton.
- Znowu te twoje sportowe porównania.
- Jesteś uroczym, pełnym fantazji mężczyzną i gdyby życie obeszło się z tobą lepiej, kobiety z pewnością szalałyby za tobą.
- Co przez to rozumiesz?
- Powinieneś mieć dużo pieniędzy, być niezależny finansowo. Całe szczęście, że jako kasjer w banku nigdy nie pomyślałeś o defraudacji.
- Nie jestem durniem. Tego by tylko brakowało, żebym się znalazł za kratkami. Ale w ogóle o czym my mówimy? Co to ma wspólnego z nią?
- Nic. Na szczęście nic. Ona nie musi się dowiedzieć, jak skromne i monotonne życie tu prowadzisz. Zakochała się przecież w kimś trochę szalonym, kimś, kto czerpie życie pełnymi garściami.

- Nie chcesz jej chyba rozczarować?
- To co mam zrobić?
- Zostaw to mnie. Ja odpiszę na jej list.
- Nigdy na to nie pozwolę.
- Nie obawiaj się. Nie zdradzę żadnego z twoich sekretów. Myślę, że powinien zaczynać się tak: „Szanowna Pani, list pani nadszedł w dwa dni po wypadku. Wnioskuje z niego, że mieliście państwo wspólne plany z Bruce...”